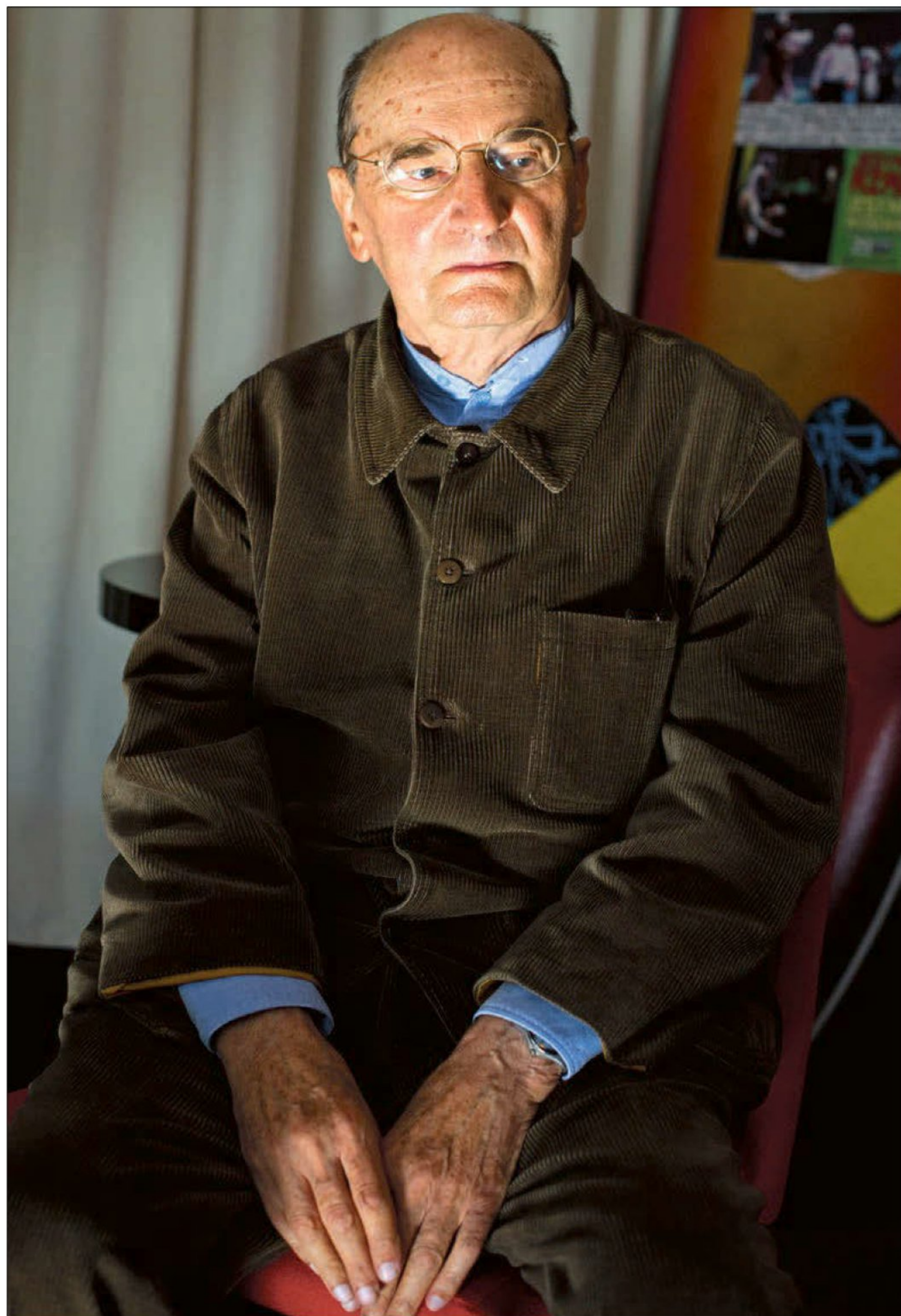


Jacek Wakar, Polskie Radio

Był czerwiec ubiegłego roku, wybierałem się na „Emigrantów” Mrożka do warszawskiego Teatru Polskiego. Reżyserował Piotr Cyrwus, w roli prostaczka XX obsadzając samego siebie, partię inteligenta AA powierzając natomiast Szymonowi Kuśmiderowi. Czy spodziewałem się wiele? Chyba nie. W końcu Cyrwus, aktor wytrawny, inscenizatorem był jeszcze mało zaprawionym w bojach, całość zaś mogła nosić znamiona roboty dwóch kumpli na boku. Nie żeby było w tym coś złego. Po prostu wolałem nastawić się na ewentualną przyjemną niespodziankę.

I niespodzianka zdarzyła się, w dodatku skalą przeszła wszelkie nadzieje. Cyrwus z Kuśmidrem przeczytali dramat Mrożka litera po literze i litera po literze wyciągnęli z niego morderczo konsekwentne wnioski. Nie upiększali przy tym sztuki natrętnymi aluzjami do współczesności, choć przecież „Emigranci” do takich gier z pozoru nadają się idealnie. Nie raz, nie dwa słyszeliśmy przecież o realizacjach, w których obsadzano naturalszczyków, aby wzmocnić wrażenie, że na scenie nie ma mowy o udawaniu. Czasem do tekstu podchodzono z tępych nożem, aby go we własnym rozumieniu „uzdatnić”, uczynić bardziej atrakcyjnym dla dzisiejszej widowni. Tymczasem przedstawienie Cyrwusa i Kuśmidra szło krok w krok za Mrożkiem, z respektem dla wszystkich jego wskazówek i uwag. Scenografia z drobnymi ustępstwami taka jak w autorskich didaskaliach, większych skrótów nie dostrzegłem. Półtorej godziny teatru budowanego z literatury, a jednak autonomicznego, bo swój wyraz zawdzięczającego aktorstwu dwójki wykonawców. Na koniec zaś cud: ci wszyscy, co myśleli, że Mrozek się przeżył, jego diagnozy nikogo nie obchodzą, a forma niemilosiernie się zestarzała, musieli przetrzeć oczy. Wystarczyło, by na widowni zapaliło się światło, aby publiczność w jednej chwili zerwała się do stojącej owacji. To nie byli żadni krewni i znajomi królika, bowiem wybrałem się na zwyczajny szeregowy spektakl. Znajomi opowiadali potem, że podczas ich wizyt na „Emigrantach” w Polskim było tak samo. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że bardzo myślał się ci, co dyskredytują twórcę „Baltazara”, bo w odróżnieniu od nich posługuje się zdaniem wielokrotnie złożonymi. Podobnie zresztą jak i ci, co się zarzekali, że od wystawiania jego dramatów woleliby harować przy londyńskich zmywakach.

Powracam do świetnego widowiska sprzed roku z okładem nie tylko dlatego, że wciąż znajduje się w repertuarze Polskiego, można zatem samemu sprawdzić, czy nie konfabuluje. Myślę po prostu, że przed dziełem Sławomira Mrożka jeszcze niejednym trudnym rok, ale pogłoski o śmierci jego spuścizny okazały się mocno przesadzone. Mrozek nie zakończył jeszcze z nami swoich porachunków, niejednym jego utworu czeka na ponowne, a czasem i pierwsze odkrycie. Niejednym kryje w sobie nierozpoznane dotąd znaczenia. Tyle że autor „Vatzlava” i wcześniej, i pośmiertnie nie zaleca się do ludzi teatru. Swojego czasu ułatwił im zadanie, bo po co szukać nieograniczonego tytułów, skoro można zrealizować „Tango” i frekwencyjny sukces ma się jak w banku. Nie wiem, czy jakkolwiek inny dramat doczekał się w powojennej Polsce tytułu realizacji, oczywiście „Maydayów” i tym podobnych w tej konkurencji nie licząc. Jednak, co jasne, liczba inscenizacji nie przechodziła w jakość. W ostatnich dwóch dekadach nie można było nie zapamiętać przedstawienia Macieja Englerta w warszawskim Teatrze Współczesnym. Artura grał w nim Piotr Adamczyk, Stomila Zbigniew Zapasiewicz, Eleonorę Marta Lipińska, Eugenię Danuta Szaflarska, Eugeniusza Wiesław Michnikowski, Edka Krzysztof Kowalewski, Alę Ewa Gawryluk. Nawet się nie spostrzegłem, jak przepisałem cały afisz, bo obsadę ów spektakl miał nieprawdopodobną. Bardziej istotne było jednak, że uważnie czytając „Tango”, Maciej Englert trafił w punkt. Osiem lat po przełomie, w nowej, a już poharatanej sobą Polsce zderzał ze sobą dwa skazane na klęskę pokolenia. Generację Stomila, która pożarła własny ogon, jedynie pozorując prawdziwe życie konformistycznymi, artystowskimi eksperymentami, oraz tę, co za uosobienie miała Artura z jego bezskutecznym buntem. Przenikliwość wizji Englerta robiła w tamtym czasie piorunujące wrażenie. Widowisko zostało utrwalone przez Teatr Telewizji i dzięki temu można



ARTUR CHMIELEWSKI

Mrozek w tonacji noir

WSPOMNIENIE Trzy lata po śmierci autora „Tanga” niewiele powraca do jego utworów. Tak jak się spodziewano, pisarz trafił do literackiego czyścica i trudno liczyć na to, by go szybko opuścił. To niesprawiedliwe, bo w twórczości Sławomira Mrożka wciąż wiele mamy do odkrycia i wiele do przewartościowania

przekonać się, że w najmniejszym stopniu nie straciło swojej siły.

Tak się jakoś składało, że wszystkie ważne Mrożkowskie inscenizacje z ostatnich lat kazały szybko zapomnieć o tym, jaką gębę przyprawiliśmy autorowi „Słonia” my i nasi poprzednicy. Wiadomo było przecież, że skoro Mrozek, to i śmiech. Przecież „mówiliśmy Mrożkiem”, co druga zaobserwowana sytuacja wydawała nam się „jak z Mrożka”. Dlatego przyczepiono pisarzowi łatkę dostawcy komedii, stoika, co zapyta Durrenmatta na autorskim spotkaniu: „Co słychać”, przyspili rzeczywistość celnym rysunkiem. Nie piszę oczywiście, że Mrozek komedie pisał słabe, a jako satyryk się nie spełnił. Przeciwnie. Sądzę tylko – nie ja jeden zresztą – że rdzeń tej twórczości od początku był ciemny. Od

pierwszych zdań czaiły się pod nimi gorczy, smutek, rozczarowanie światem. Może dlatego właśnie pochłaniałem łapczywie tyśiące stron „Dziennika”, nie dołączając do licznego chóru tych, co zarzekali się, iż prywatnych zapisków Mrożka woleliby nigdy nie poznać i znacznie lepiej byłoby, gdyby z początku nieprzeznaczone do druku karty nigdy nie wyszły poza sferę domysłów, pozostały jedną z tajemnic literatury. Pisany po polsku, a fragmentami po angielsku i włosku „Dziennik” nie był rzecz jasna osiągnięciem stylisty, nie ma sensu zestawiać go z innymi utworami Mrożka. Niósł w sobie jednak rzeczy nie do zlekceważenia. Nie, nie opisy miłosnych spełnień i rozczarowań ani nie kronikarskie notowanie coraz bardziej intensywnego osuwania się w alkoholizm.

Znacznie mocniejsze są obrazy z dna duszy pisarza, gdzie zawsze kryło się nieprzystosowanie do życia na emigracji i złość na Polskę, poczucie odrzucenia, a co najmniej niedocenyenia, dyskomfort chłopaka z Borzęcina, który ten swój Borzęcin niesie ze sobą przez świat jak kamyk w butcie. Kamyk uwiera, ale pisarz nie umie go wyrzucić. Może to sprawa niemożności wyrwania korzeni?

Po Englercie, wcześniej Kazimierzu Dejmku i Erwinie Axerze, nikt nie inscenizował Mrożka tak jak Jerzy Jarocki. Wielki reżyser wystawiał jego teksty przed laty w krakowskim Starym Teatrze, w Teatrze Polskim we Wrocławiu zrealizował swego czasu autorski scenariusz oparty na fragmentach jego utworów i zatytułował go „Historia PRL według Mrożka”. Właśnie Jarocki był ostatnim, który podjął z Mrożkiem bezkompromisowy spór, gdy zabrakło już Axera i Dejmka. Myślę o wielkiej końcówce Jarockiego i jego pracach w warszawskim Teatrze Narodowym. W monumentalnej „Miłości na Krymie” symbolicznie żegnał dwudzieste stulecie i podsumowywał rolę, jaką odegrała w nim inteligencja i jej przedstawiciele. Wbrew zapisanym w prologu „Dziesięciu punktom” gwarantującym, że dramat może zostać wystawiony jedynie w kształcie opisanym przez autora, wiele w aktach drugim i trzecim zmienił, ale pozostał wierny duchowi ostatniej z wybitnych sztuk Mrożka. On zaś nie mógł być zadowolony, iż Jarocki ingeruje w tekst, ale mocno już schorowany i zubożony nie reagował. Z czasem zarzut zlekceważenia założeń pisarza nie będzie zresztą miał większego znaczenia. Tym bardziej że po zmianach zaproponowanych przez Jarockiego „Miłość na Krymie” niczego nie straciła, a może nawet zyskała.

Bardziej symptomatyczne dyskusje towarzyszyły jednak kolejnej Mrożkowskiej inscenizacji Jarockiego na narodowej scenie – zrealizowanemu w 2009 roku „Tangu”. Spektakl miał wielu przeciwników, zarzucających, że stary mistrz odarł arcydzieło z tego, co w nim najważniejsze lub niemal najważniejsze, czyli z humoru. W dodatku inkrustował je „Rajem utraconym” Milтона w scenie artystycznego eksperymentu Stomila (Jan Frycz). Coś było na rzeczy, gdyż Jarocki mówił przed premierą wiele o tym, że uważa Mrożka za autora wielkiego serio i w takiej tonacji zamierza wystawić „Tango”. Tak też uczynił, ukazując najbardziej znany polski dramat powojenny jako opowieść o narodzinach tyranii. Tyranów w Narodowym było dwóch – Artur Marcina Hycnara oraz Edek Grzegorza Małeckiego.

Mówiąc o „Tangu” i jego autorze w tonie wielkiego serio, Jarocki sam nie wiedział, że ustawia na lata nasze czytanie Mrożka. Jego ostatnia sztuka „Karnawał, czyli pierwsza żona Adama”, nieudana niestety, niczego w tym względzie nie zmieniła. Zaczęliśmy postrzegać Mrożka jako egzystencjalistę i takim widzimy go trzy lata po jego odejściu. W tonacji noir postrzegamy dziś nawet te utwory, które dawniej mieliśmy za fenomenalne metafory, ale emocjonował nas przede wszystkim ich humor, choćby „Zabawę”, o „Kontrakcie” albo „Ambasadorze” nie wspominając. Lata po wielkiej inscenizacji Axera, który zrobił we Współczesnym spektakl o ocalaniu własnej godności, chętnie zobaczyłbym znów „Ambasadora”. Mam dziwną pewność, że dziś zabrzmiałyby tak jak dawniej złowrogo, a może i jeszcze bardziej.

Zobaczyłbym też „Portret”, w moim prywatnym zestawieniu jedną z najważniejszych, a jednocześnie najbardziej niedocenionych sztuk Mrożka. W najbardziej wstrząsającej sekwencji dawny dysydent Anatol zaprasza Stalina na poczęstunek, tak jak Don Juan prosił na kolację Komandora. Są w tym groza i wizja, właściwe pisarzom największym. Ma zresztą „Portret” potencjał godny, by stawić go w rządzie dzieł narodowych. Ma też pięknością, ale jako rzecz o naznaczonej ideologią jako śmiertelnej chorobie broni się znakomicie.

„Witkacy przyszedł za wcześniej, Gombrowicz jest obok, Mrozek pierwszy przyszedł w samą porę” – pisał ponad pół wieku temu, po premierze „Tanga” w wersji Erwina Axera, Jan Kott. Przyszedł i poszedł, powiedzielibyśmy dziś, patrząc, jak obchodzony jest dużym łukiem. A jednak jestem dziwnie spokojny, że sezony na Mrożka powrócą, bo wiem, że nie odkrył się jeszcze przed nami. Nie myślę o domniemanym czwartym „Dzienniku”, ale poważnym czytaniu opowiadań i dramatów. To wystarczy, w nich wielki pisarz jest pogrzebany. ©